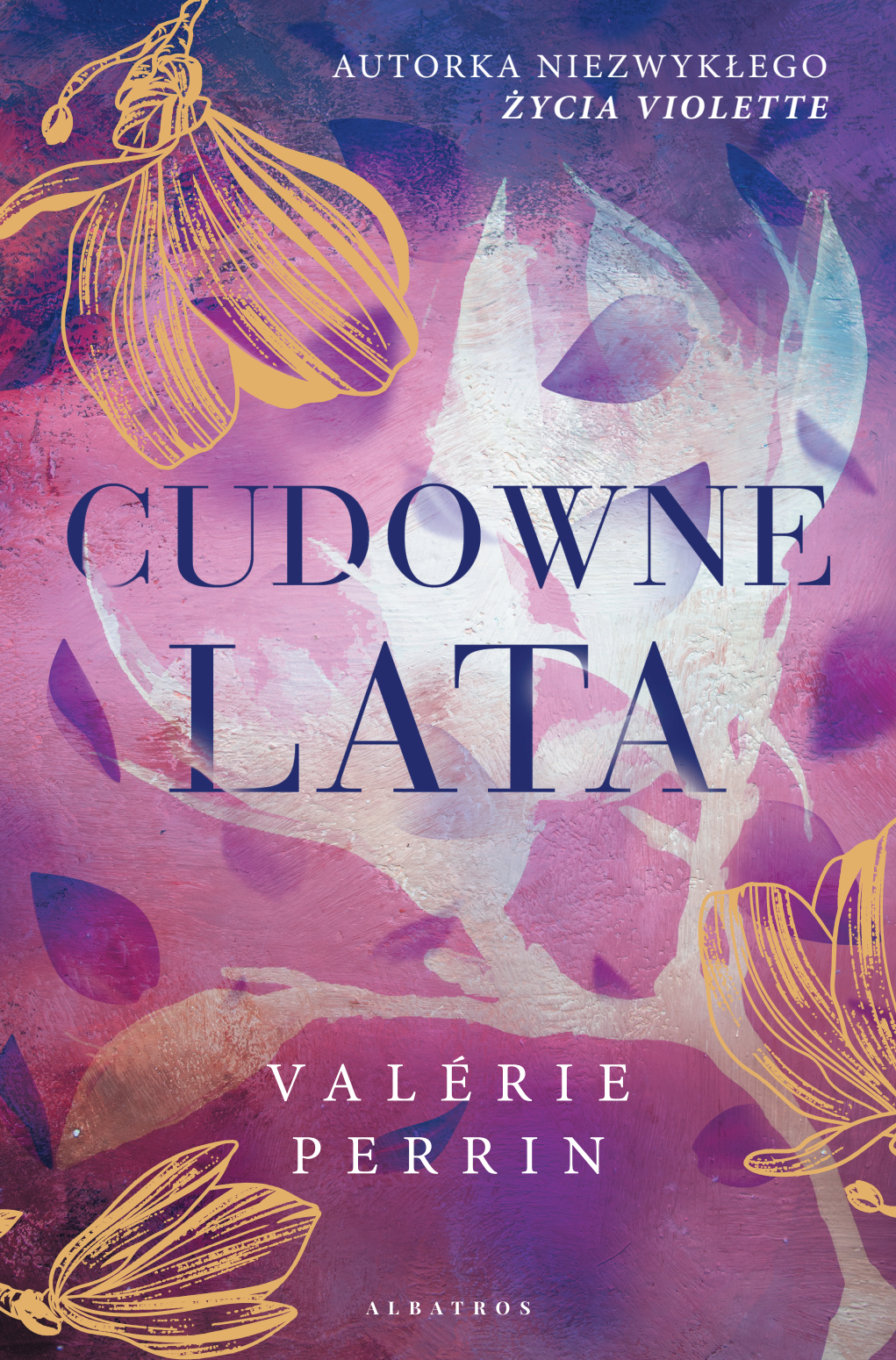




AUTORKA NIEZWYKŁEGO
ŻYCIA VIOLETTE

CUDOWNE LATA

VALÉRIE
PERRIN

ALBATROS

Tytuł oryginału:
TROIS

Copyright © Éditions Albin Michel, Paris 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2023

Redakcja: Katarzyna Maciejak

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce: BiZkettE1/Freeplik (*złote kwiaty*);
macrovector/Freeplik (*spadające płatki kwiatów*);
rawpixel.com/Freeplik (*gałąź magnolii*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



I

4 grudnia 2017

Dziś rano Nina popatrzyła na mnie niewidzącymi oczami. Jej spojrzenie ześlizgnęło się jak krople deszczu po moim płaszczu, zanim zniknęła za drzwiami schroniska.

Lało jak z cebra.

Spod kaptura jej peleryny wymykały się czarne kosmyki, zauważyłam też, że jest błada. Miała na nogach za duże kalosze, w ręce trzymała długi szlauch. Na jej widok skurczył mi się żołądek; czułam się tak, jakby poraził mnie prąd, co najmniej pięć tysięcy woltów.

Przyniosłam trzydzieści kilogramów karmy. Robię to co miesiąc, ale nigdy nie wchodzę na teren schroniska. Słyszę psy, choć ich nie widzę. Chyba że akurat ktoś wyprowadza jakiegoś na spacer.

Worki ustawione jeden obok drugiego przed wejściem. Zawsze ten sam niedogolony wysoki facet pomaga mi zanieść te nagrody pocieszenia pod tablice z napisami PORZUCIĆ ZNACZY ZABIĆ i PROSIMY DOBRZE ZAMYKAĆ BRAMĘ.

Co roku na Boże Narodzenie i przed wakacjami – ale nigdy nie tego samego dnia – wsuwam gotówkę do skrzynki pocztowej schroniska. Anonimowo. Piszę tylko na kopercie grubym flamastrem NINA BEAU. Nie chcę, żeby wiedziała, że pieniądze są ode mnie. Nie robię tego dla zwierząt, robię to dla niej. Wiem dobrze, że wszystko pójdzie na karmę i weterynarza, ale chcę, żeby przeszło przez jej ręce, i to bez śladu. Żeby wiedziała, że tam na zewnątrz nie wszyscy

wyrzucają małe kotki na śmietnik.

Trzydzieści jeden lat temu też popatrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem – jak dziś rano. Wychodziła z męskiej toalety, miała dziesięć lat. W damskiej był tłok, już wtedy nie lubiła czekać.

Jej spojrzenie ześlizgnęło się po mnie, po czym przytuliła się do Étienne’a.

Siedzieliśmy w barze Progrès, należącym do rodziców Laurence Villard. Było niedzielne popołudnie. Bar był zamknięty dla gości, żaluzje opuszczone. Prywatna impreza z okazji urodzin córki. Pamiętam krzesła ustawione jedno na drugim na stolikach. Pamiętam zaimprovizowany parkiet do tańca między flipperem a barem. Na barze rozpakowane prezenty obok chipsów i herbatników Choco BN, żółte słomki w kartonowych kubeczkach z napojem Oasis i lemoniadą.

Obecna była cała ostatnia klasa. Nie znałam nikogo. Dopiero przyjechałam do La Comelle, robotniczego miasta w centrum Francji, około dwunastu tysięcy mieszkańców.

Nina Beau. Étienne Beaulieu. Adrien Bobin.

Obserwowałam odbicie ich trojga w lustrze nad barem.

Nosili staromodne imiona, jak po przodkach. Większość z nas miała na imię Aurélien, Nadège czy Mickaël.

Cała trójka – Nina, Étienne i Adrien – weszli w dzieciństwo jako papużki nierozłączki. Tamtego dnia i później również nie zwracali na mnie uwagi.

Nina i Étienne całe popołudnie tańczyli do *Take on Me* grupy a-ha. Maxisingiel – ten kawałek trwał dwadzieścia pięć minut. Wszyscy z mojej klasy puszczały to bez przerwy, jakby nie było innych piosenek.

Nina i Étienne tańczyli jak dorośli. Jakby robili to całe życie. Tak myślałam, kiedy na nich patrzyłam.

W migającym świetle wyglądali jak dwa morskie ptaki, z wdziękiem rozkładające skrzydła w wietrzne noce. Ptaki widoczne jedynie w dalekich błyskach latarni morskiej.

Adrien siedział niedaleko nich na ziemi, plecami przyklejony do ściany. Kiedy Cyndi Lauper zaczęła śpiewać *True Colors*, szybko wstał, żeby poprosić Ninę do tańca, do tego wolnego utworu.

Étienne niechcący otarł się o mnie. Nigdy nie zapomnę jego zapachu – pachniał wetiwierią i cukrem.

*

Mieszkam sama na wzgórzach – czy raczej na pagórkowatym terenie – pod La Comelle. Wyjechałam stąd, ale wróciłam, bo muzyka tego miasta, ludzie, słoneczne dni, dwie główne ulice i alejki w supermarkecie, w którym co tydzień robię zakupy, to moje życie. Od dziesięciu lat cena metra kwadratowego jest śmiesznie niska; prawie rozdają tu ludziom ziemię. Kupiłam więc za grosze mały domek i odnowiłam. Cztery pokoje i ogród z wielką lipą. Lipa w lecie daje cień, a w zimie napary.

Wszyscy stąd wyjeżdżają. Wszyscy, ale nie Nina.

Étienne i Adrien wyjechali, wrócili na Boże Narodzenie i znów wyjechali.

Pracuję w domu, czasem redaguję albo tłumaczę teksty dla wydawnictw. A żeby mieć kontakt z ludźmi, wiedzieć, co się dzieje wokół mnie, w sierpniu i grudniu zastępuję redaktora w miejscowej gazecie. W lecie zajmuję się rubryką zgonów, rocznic ślubów i konkursów gry w karty, w zimie to samo, z tym że dochodzą spektakle dla dzieci i jarmarki świąteczne.

Tłumaczenie i redagowanie tekstów to pozostałości z mojego poprzedniego życia.

Są wspomnienia, z teraźniejszości i przeszłości, które mają zapach. Gdy zmienia się życie, zmieniają się zapachy.

Dzieciństwo pachnie smołą, dętką, watą cukrową, środkiem odkażającym używanym w szkolnych salach, ogniem z rozpalanych w zimne dni kominków, chlorowaną wodą miejskich basenów, wonią potu z dresów wieszanych w szatni siłowni, różową gumą do żucia, klejem na palcach, karmelkami, które weszły między zęby, choinką ustawioną na podwórku.

Dorastanie ma zapach pierwszego papierosa, piżmowego dezodorantu, bułki z masłem zanurzonej na sekundę w kubku ciepłego kakao, whisky z colą, imprez w piwnicach, spragnionych ciał, wody utlenionej, żelu do włosów, szamponu z żółtek, szminki,

świeżo upranych dżinsów.

Późniejsze życie pachnie szalem, który został nam po pierwszej nieszczęśliwej miłości.

A potem przychodzi lato. Lato należy do wszystkich epok. Jest ponadczasowe, przede wszystkim przez swój uporczywy zapach, który przylega do ubrań, za którym tęskni się całe życie. Kapiące słodyczą owoce, wiatr od morza, świeże ciastka, czarna kawa, krem do opalania, babciny puder... Lato należy do każdego okresu życia. Lato nie ma dzieciństwa ani wieku młodzieńczego. Lato to anioł.

Jestem wysoka, raczej zgrabna. Mam grzywkę, półdługie ciemnokasztanowe włosy. Kilka siwych nitczek kamufluję brązowym tuszem do rzęs.

Mam na imię Virginie. Jestem w tym samym wieku co oni.

Dziś z tamtej trójki tylko Adrien jeszcze ze mną rozmawia.

Nina mną gardzi.

Étienne... To ja nie chcę z nim gadać.

A przecież fascynują mnie od dzieciństwa. Nigdy nie zżyłam się z nikim poza tą trójką.

I poza Louise.

2

5 lipca 1987

Zaczyna się od bólu brzucha po zjedzeniu kanapki i frytek maczanych w keczupie. Nina siedzi pod parasolem z reklamą lodów Miko, przed budką sprzedawcy frytek. Kilka metalowych kolorowych stolików na tarasie z widokiem na trzy baseny miejskiej pływalni. Zlizując ziarenka soli z koniuszków palców, Nina słucha Madonny, *La Isla Bonita*, i rozmarzonym wzrokiem obserwuje opalonego blondyna skaczącego z pięciometrowej wieży. Palcami wygarnia resztki keczupu z rowków na dnie plastikowego pojemnika. Étienne kołysze się na krześle, pociągając przez słomkę lemoniadę z sokiem truskawkowym, Adrien odgryza kęs zbyt dojrzałej brzoskwini; sok cieknie mu po rękach, ustach, nogach, wszędzie pełno soku.

Nina często obserwuje Étienne'a i Adriena. Nigdy nie ukradkiem. Wbija wzrok w którąś część ich ciała i już go nie odrywa. Étienne tego nie lubi i często rzuca: „Przestań się gapić!”. Adrien ma to w nosie. To cała Nina, nie ma wstydu.

Znów skurcz w brzuchu i nagłe uczucie, że coś ciepłego spływa po wewnętrznej stronie ud. Nina od razu się domyśla. Och, nie! Za wcześnie! Nie chcę! Jedenaste urodziny za piętnaście dni. Myślała, że TO przychodzi później, pod koniec gimnazjum... Za dwa miesiące będzie dopiero w pierwszej gimnazjalnej... Co za wstyd... Jeśli dziewczyny się zorientują, będą myślały, że powtarzam klasę.

Wstaje, owija się szorstkim ręczniczkiem, skąpym, ale wystarczy, żeby zakryć biodra. Jest bardzo szczupła. „Chuda jak patyk”, drażni się z nią często Étienne. Nina bez słowa podaje mu walkmana i idzie

do damskiej szatni. Zwykle wchodzi do męskiej, bo tam przebierają się szybko.

Étienne i Adrien zostali na tarasie. Nina wystrzeliła stamtąd jak z procy. Normalnie ich trójka nigdy się tak nie rozstaje; każdy, zanim wyjdzie, mówi, dokąd idzie.

– Co jej się stało? – pyta Étienne, żując słomkę sterczącą z kącika ust.

Adrien spostrzega, że syrop zaróżowił jego język.

– Nie wiem... – Wzdycha. – Może to ta astma.

Nina tego dnia już nie wraca na taras. Ruda plama na kostiumie kąpielowym. Pędem przebiera się, wciska do majtek kłęb papieru toaletowego. Czuje się tak, jakby miała guza między nogami. Przystaje przed miejscowym minimarketem i kupuje wkładki higieniczne za drobne, które zostały z frytek. Bierze najtańsze, pakowane po dziesięć.

W domu suczka Paola, machając ogonem, patrzy na nią dziwnie. Podnosi pysk, odwraca się i biegnie do Pierre’a Beau, dziadka Niny, który pracuje w ogrodzie. Dziadek nie zauważył, że wnuczka wróciła. Nina zamyka się w swoim pokoju na piętrze.

Jest gorąco. Chciałaby zanurzyć się z Étienne’em i Adrienem w głębokim na cztery metry basenie, nad którym stoją dwie trampoliny – metrowa i trzymetrowa – oraz pięciometrowa wieża. Jest tam zbyt głęboko, żeby woda się nagrzała. Codzienne wyzwanie to skoczyć tak sprytnie, by dotknąć lodowatego dna.

Wieczorem dzwoni Étienne. W tym samym czasie próbuje się z nią połączyć Adrien, ale jest zajęte.

– Dlaczego nagle zniknąłeś?

Nina się waha. Chce wymyślić jakieś kłamstwo, ale po co.

– Dostałam okres.

Według Étienne’a okres mogą mieć tylko dziewczyny, które mają już piersi, owłosienie: matki, kobiety zamężne. Nina nie zalicza się do żadnej z tych grup. Étienne zbiera jeszcze naklejki w albumach Panini i ukradkiem ssie kciuk. Nina jest taka jak on. Widział przecież cały rząd lalek Barbie w jej pokoju.

Milczy. Nie dowierza. W końcu pyta:

- Mówiłaś dziadkowi?
- Skąd! Obciach.
- Co zamierzasz zrobić?
- A co mam zrobić według ciebie?
- Może to nie jest normalne w twoim wieku.
- Podobno wszystko zależy od matki. Jeśli moja mama dostała okres w tym wieku, to normalne. Ale jak mam się dowiedzieć?
- To boli?
- Tak, trochę... takie skurcze. Jak po obrzydliwej zupie cebulowej.
- Co za szczęście, że nie jestem dziewczyną!
- Za to pójdziesz do wojska.
- Być może. Ale i tak się cieszę, że nie jestem dziewczyną. Pójdziesz do lekarza?
- Nie wiem.
- Chcesz, żebyśmy z tobą poszli?
- Może. Ale macie czekać przed gabinetem.

*

Poznali się dziesięć miesięcy wcześniej na podwórku Szkoły Podstawowej imienia Pasteura w pierwszy dzień po wakacjach. Wszyscy rozpoczynali naukę w ostatniej klasie.

Taki wiek to kompletny chaos. Dzieci nagle zaczynają różnić się od siebie. Duże, małe, dojrzałe, niedojrzałe. Jedne wyglądają na swoje dziesięć lat, inne sprawiają wrażenie, jakby miały czternaście.

Na dziedzińcu szkolnym zebrały się dwie klasy, w sumie około sześćdziesięciorga dzieci. Przed nimi stoją dwie osoby: nauczycielka, pani Bléton, i nauczyciel, pan Py. Na zmianę wywołują nazwiska.

To poranek, kiedy poznaje się różnicę między ślepym trafem i ciosem od losu.

Każde dziecko modli się po cichu – nawet to, które nigdy nie było na lekcjach religii – żeby wywołała je pani Bléton. Pan Py ma złą opinię, przekazywaną młodszym przez pokolenia starszych uczniów w przerażających opowieściach. To drań, który nie waha się uderzyć dzieciaka, unieść go za kołnierz nad ziemią, a nawet rzucać krzesłami

o ścianę, gdy jest naprawdę wściekły. Poza tym co roku wybiera sobie ofiarę i jej nie wypuszcza. Ofiara to przeważnie zły uczeń. „Więc musisz się dobrze uczyć, inaczej koniec!”

Pani Bléton – rząd po prawej. Pan Py – rząd po lewej. Wywołują uczniów w kolejności alfabetycznej.

Łatwo sobie wyobrazić westchnienia ulgi dobiegające z prawej strony. Uczniowie w tym rzędzie wyglądają tak, jakby dziękowali niebu – są wyraźnie zrelaksowani. A po lewej? Wszyscy przypominają skazańców.

Tego ranka w szkole imienia Pasteura jest cicho jak makiem zasiał. Słyszać tylko głosy dwojga nauczycieli na dziedzińcu szkolnym, wycytujących nazwiska uczniów zaczynające się na A.

Adam Éric, na prawo.

Antard Sandrine, na lewo.

Antunès Flavio, na prawo.

Aubagne Julie, na lewo.

Następnie na B.

Beau Nina, na lewo.

Beauclair Nadège, na prawo.

Beaulieu Étienne, na lewo.

Bisset Aurélien, na prawo.

Bobin Adrien, na lewo.

W ten sposób trzeciego września 1986 roku Nina Beau, Étienne Beaulieu i Adrien Bobin znaleźli się w jednej grupie. Chłopcy wydają się sparaliżowani ze strachu, więc Nina bierze ich za ręce i ciągnie do rzędu przed nauczycielem. Étienne idzie za nią bez oporu. To, że dał się wziąć za rękę dziewczynie, już samo w sobie jest wstydem, a jeszcze nie dotarło do niego, że dostał podwójny wyrok: stracił przyjaciela, Auréliena Bisseta, i jest w grupie Py’ego. Ta ostatnia prosta przed gimnazjum jest przez całą szkołę uważana za trudne doświadczenie. „Cholera, trafiłeś do Py’ego, porażka!”

We troje stoją obok siebie, czekając na koniec apelu.

Étienne jest dużo wyższy od dwojga pozostałych. Ma delikatne rysy, jasne włosy, jasną cerę, wygląda jak dziecko na starych rycinach; oczy, błękitne jak woda w basenie, zwracają uwagę wszystkich,

którzy napotkają jego spojrzenie.

Adrien jest ciemnym szatynem z potarganymi włosami, szczupłym, bladym i tak nieśmiałym, że wygląda, jakby chował się sam za siebie.

Nina ma wdzięk sarenki. Czarne brwi i długie rzęsy nad hebanowymi oczami. Po dwóch miesiącach wakacji jest opalona na ciemny brąz.

Pan Py obserwuje przyszłych uczniów zza okularów; wydaje się zadowolony, z uśmiechem prosi, żeby poszli za nim do klasy, i staje przed tablicą.

Wciąż ta przerażająca cisza. Każdy krok, każdy gest natychmiast zmienia się w sopol lodu.

Wybierają losowo miejsca. Ci, którzy się znają, trzymają się razem. Étienne dyskretnie odpycha Adriena biodrem, żeby stanąć przy Ninie. Adrien posłusznie staje za nią i nagle zapomina o nauczycielu. Przepada, patrząc na jej warkocze, ciemne u nasady, rozjaśnione na końcach, z dwiema gumkami i przedziałkiem pośrodku, na perłowe guziczki przy czerwonej aksamitnej sukience... Kropka nad „i” to ten meszek na karku. Piękność widziana z tyłu. Nina czuje to spojrzenie, odwraca się na chwilę i rzuca mu figlarny uśmiech. Ten uśmiech dodaje mu animuszu. Ma przyjaciółkę! Koleżankę! Po powrocie do domu będzie mógł powiedzieć: „Mamo, mam nową przyjaciółkę!”. Ma nadzieję, że Nina będzie jadła w stołówce, tak jak on.

– Siadajcie!

Pan Py przedstawia się, pisze na tablicy swoje nazwisko. Napięcie opada, bo w sumie nie wygląda na takiego złego, jak mówią. Właściwie prawie się uśmiecha, wyjaśniając im wszystko. Może się zmienić? Czy dorośli mogą się z czasem zmieniać na lepsze?

Ranek mija szybko. Rozdawanie podręczników, które należy obłożyć jeszcze tego samego wieczoru, a nie następnego dnia.

– Nienawidzę prokrastynacji – oznajmia pan Py, grzebiąc w skórzanej teczce.

Odpowiada mu nieufna cisza.

– Widzę, że nie znacie tego słowa.

Nauczyciel wstaje, ściera gąbką swoje nazwisko i w tym miejscu

pisze: PROKRASTYNACJA – od czasownika PROKRASTYNOWAĆ.
Podkreśla to trzy razy.

– To znaczy: odłożyć na jutro to, co można zrobić dzisiaj.

Potem prosi, by każdy się przedstawił i powiedział o swoich słabych i mocnych stronach.

Zapada cisza.

– Ojej! Widzę, że śpimy na siedząco! No cóż, będę wywoływał na chybił trafił...

Pan Py wskazuje palcem sąsiadkę Adriena, bladą blondyneczkę. Dziewczynka wstaje.

– Nazywam się Caroline Desseigne, moją mocną stroną jest czytanie, a moim słabym punktem jest to, że mam zawroty głowy...

Caroline czerwienieje i siada.

– Następny, proszę! Twój sąsiad – rzuca Py.

Adrien wstaje. Czerwone czoło. Wilgotne ręce. Nienawidzi zabierać głosu przed całą klasą.

– Nazywam się Adrien Bobin. Moją mocną stroną również jest czytanie, a słabą... Boję się węży.

Nina podnosi rękę. Pan Py zachęca ją skinieniem głowy.

– Nazywam się Nina Beau. Moją mocną stroną jest rysowanie... Moją słabą stroną jest astma.

Teraz kolej na Étienne'a, więc wstaje.

– Nie podniosłeś ręki! – ryczy Py.

Cisza.

– Nie szkodzi, dziś jest pierwszy dzień szkoły, z reguły jeszcze nie swędzi mnie ręka... zmęczyła się na wakacjach. Siadaj. Jeśli chcesz zabrać głos, trzeba podnieść rękę. Następny!

Étienne bez słowa opada na krzesło, na plecach czuje zimny pot. Dłonie mu się trzęsą.

Jest południe, dzwonek dla wszystkich klas. Nikt się nie porusza. Pan Py prosi, żeby uczniowie, którzy się jeszcze nie przedstawili, kontynuowali. Étienne kilka razy podnosi rękę, ale Py do końca lekcji jakby przestaje go widzieć. Wreszcie zwalnia klasę na przerwę.

Étienne i Adrien, mimo że wyszli pierwsi, czekają na Ninę na korytarzu. Już czują się zżyłą grupą. Gdy dołącza do nich Nina,

Étienne skarży się, rozzłoszczony:

– Wszyscy się przedstawili, tylko ja nie...

– To jak ty się nazywasz? – pyta Nina.

– Étienne Beaulieu. Moją mocną stroną jest sport, a słabą... Nie wiem. Jestem raczej we wszystkim dobry.

– Nie masz żadnej słabej strony? – pyta Nina.

– Chyba nie.

– Nie boisz się niczego? – dziwi się Adrien.

– Nie.

– Nawet gdybyś znalazł się w lesie sam w nocy?

– Nie wiem... Musiałbym spróbować.

Idą razem szybkim krokiem. Są spóźnieni dwadzieścia minut na obiad w stołówce.

Nina idzie w środku, po jej prawej Adrien, po lewej – Étienne.

Nazwisko ucznia: Bobin Adrien, rue John-Kennedy 25, 71200 La Comelle, ur. 20 kwietnia 1976 roku w Paryżu. Francuz.

Ojciec: Bobin Sylvain, rue de Rome 7, 75017 Paryż, pracownik banku, ur. 6 sierpnia 1941 roku w Paryżu, Francuz.

Matka: Simoni Joséphine, rue John-Kennedy 25, 71200 La Comelle, opiekunka w żłobku i w przedszkolu, ur. 7 września 1952 roku w Clermont-Ferrand, Francuzka.

~~Inny opiekun prawny, adres, zawód, data urodzenia, narodowość, telefon domowy/biurowy.~~

W razie wypadku zawiadomić: Joséphine Simoni, 85 67 90 03.

Nazwisko ucznia: Beaulieu Étienne Jean Joseph, rue du Bois-d'Agland 7, 71200 La Comelle, ur. 22 października 1976 roku w Paray-le-Monial, Francuz.

Brat: Paul-Émile, 19 lat. Siostra: Louise, 9 lat.

Ojciec: Beaulieu Marc, rue du Bois-d'Agland 7, 71200 La Comelle, urzędnik, pracuje w Autun, ur. 13 listopada

1941 roku w Paryżu, Francuz.

Matka: Beaulieu (nazw. panieńskie: Petit) Marie-Laure, rue du Bois-d'Agland 7, 71200 La Comelle, urzędniczka sądowa w Mâcon, ur. 1 marca 1958 roku w La Comelle, Francuzka.

~~Inny opiekun prawny, adres, zawód, data urodzenia, narodowość, telefon domowy/biurowy.~~

W razie wypadku zawiadomić: Bernadette Rancoeur (pomoc domowa), 85 30 52 11.

Nazwisko ucznia: Beau Nina, rue des Gagères 3, 71200 La Comelle, ur. 2 sierpnia 1976 w Colombes, Francuzka.

Ojciec: nieznany.

Matka: Beau Marion, rue Aubert 3, 93200 Saint-Denis, zawód nieznany, ur. 3 lipca 1958 roku w La Comelle, Francuzka.

Inny opiekun prawny: Pierre Beau (dziadek), rue des Gagères 3, 71200 La Comelle, pracownik poczty, wdowiec, ur. 16 marca 1938 roku, Francuz.

W razie wypadku zawiadomić: Pierre Beau, 85 29 87 68.

3

5 grudnia 2017

W kółko myślę o tej informacji, tak naprawdę w nią nie wierząc. Ja, samotniczka z natury... Co mi przyszło do głowy, żeby zgłaszać swoją kandydaturę do pracy w gazecie? Chciałam się sprawdzić? Chwila szaleństwa? Nie interesują mnie plotki ani to, kto odchodzi na emeryturę, ani żadne turnieje gry w bule. I nagle znalazłam się w centrum tego wszystkiego, tsunami uderza mnie prosto w twarz.

Z pewnością to nieszczęśliwy przypadek.

Leśny Staw. Stara kopalnia piasku na południe od La Comelle, przy drodze do Autun. Wody podziemne, łącząc się z Saoną, zalały ponad sto hektarów terenu. Często kąpaliśmy się tam w dzieciństwie. Wiedzieliśmy, że to niebezpieczne; podobało nam się kuszenie losu, ale staraliśmy się nie oddalać od brzegu z powodu podwodnych osuwisk, przez które w wodzie powstawały śmiertelnie niebezpieczne dziury. Prawie nikt nie wypuszczał się na środek jeziora. Czasem tylko jakiś chłopak się popisywał. A poza tym z jeziorem łączyło się mnóstwo legend. Mówiono, że w nocy ukazywały się tam duchy topielców, które pływały po powierzchni ubrane w całuny. Ja widziałam tylko turystów na kempingach i porzucone puste puszkę po piwie. Mało kto kąpał się boso. Nawet gdy było mi bardzo gorąco, wchodziłam do wody w trampkach. Ryzyko zranienia się kawałkiem szkła albo żelaza było spore. Pływać wołałam na pływalni. Ale w letnie wieczory spotykaliśmy się nad jeziorem, żeby słuchać muzyki i pić przy ognisku.

Już całe lata tam nie byłam.

Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat Leśny Staw został częściowo osuszony w celu umocnienia brzegów. Władze gminy przeprowadzają analizy terenu. Jest plan zagospodarowania nabrzeży. Mają tu powstać piaszczysta plaża, kawiarnie, zjeżdżalnie. Zostaną zatrudnieni ratownicy. Gmina zamierza zająć się również dzikimi kempingami oraz lekkomyślnymi amatorami kąpieli.

W zeszłym tygodniu podczas osuszania zachodniej części stawu odkryto zatopiony samochód. Nad brzeg prowadzą jedynie wąskie i kręte ścieżki. Ci, którzy przyjeżdżają tu samochodami, z reguły zostawiają auta na zaimprovizowanym parkingu między dwoma polami, około trzystu metrów od głównego wejścia.

Zidentyfikowano tablice rejestracyjne wraka – to twingo ukradzione siedemnastego sierpnia 1994 roku w La Comelle. Typowa sytuacja: złodziej chciał się pozbyć kradzionego auta. Ale żandarmów zaintrygował fakt, że tamtego dnia zaginęła też Clotilde Marais.

Siedemnastego sierpnia 1994 roku. Gdy w redakcji szef podał tę datę, zmroziło mnie. Poprosiłam, żeby wysłał kogoś innego, jakiegoś bardziej doświadczonego dziennikarza, ale wszyscy wyjechali na wakacje, a ja miałam dyżur i byłam na miejscu. „Toczy się śledztwo, musi pani pojechać tam jak najprędzej. Dziś jeszcze musimy mieć zdjęcie tego zatopionego samochodu i artykuł”.

Grzebię w szufladzie, szukając legitymacji prasowej. Zwykle jej nie potrzebuję. Kiedy piszę artykuł o wyborach Miss Gry w Bule, nikt mnie o nią nie prosi.

Nie lubiłam Clotilde Marais. Pewnie zazdrościłam jej ślicznych długich nóg, którymi obejmowała Étienne’a w pasie. To głównie pamiętam, jeśli o nią chodzi. Ona siedzi na murku, on stoi przed nią, całują się. Ona jest w szortach, ściska go nogami. Jest boso, paznokcie u stóp ma starannie pomalowane. Złote rzymianki rzucone niedbale na chodnik. Kwintesencja kobiecości. Świerzbi mnie, żeby zepchnąć Clotilde z tego murku. Zając jej miejsce. Stać się nią. Rzecz jasna byłam dyskretna: przesłałam szybko obok, wstrzymując oddech.

Clotilde Marais zniknęła latem w roku, w którym skończyła osiemnaście lat. Całe miasto było poruszone. No bo jak można tak

po prostu wyjechać, nie zostawiając choćby kilku słów wyjaśnienia? Mnie to właściwie nie zaskoczyło: zawsze zadzierała nosa, nikomu się nie zwierzała, nie miała przyjaciół, przeważnie widziało się ją samą.

Mam ochotę zadzwonić do Niny do schroniska, opowiedzieć jej o samochodzie znalezionym na dnie naszego jeziora. Ale wiadomo, że nigdy tego nie zrobię. To tylko taki odruch, szybko go powstrzymałam.

Nie śmiem w ogóle wyobrażać sobie, jak to odbierze Étienne.

4

Rok szkolny 1986/1987 był jedynym, w trakcie którego nauczyciel Antoine Py – inaczej mówiąc, pan Py – zmienił swojego kozła ofiarnego.

Przez całą nauczycielską karierę, od 1955 do 2001 roku, zawsze we wrześniu decydował, na kogo tym razem się uweźmie. Przepadał za tą zabawą. Szykował się do niej w myślach, siedząc nad krzyżówką w Sables-d'Olonne, gdzie spędzał każde lato.

Będzie to blondyn, brunet, może rudy? Wysoki, bo drugoroczny, czy po prostu chudy, tchórzliwy? W każdym razie od samego początku irytujący. Wystarczy, że posadzi dupę w klasowej ławce i wykrzyknie „Obecny!” głosem, który zrani nauczycielskie uszy pana Py’ego jak zgrzytnięcie widelcem po talerzu.

To zawsze był chłopak. Słaba płeć go nie interesowała. Wspomagał się dokumentami ucznia, godzinami czytał je i analizował.

Z upodobaniem rozgryzał imiona, nazwiska, zawody rodziców, sytuacje rodzinne. To go fascynowało! Delektował się tym. Miał wrażenie, że zagląda przez niezasłonięte okna do oświetlonych mieszkań, samemu stojąc w cieniu.

Zawód ojca, zawód matki... Nigdy nie wybrał ucznia, którego rodzice piastowali kierownicze stanowiska lub byli urzędnikami państwowymi. To uratowało Étienne’a Beaulieu pierwszego dnia szkoły w 1986 roku. Gdyby Py nie wyczytał z jego akt, że rodzice byli wysokimi urzędnikami, miałby przechłapanie! Wstać i zabierać głos,

nie będąc wywołanym, jeszcze czego!

Nie przyczepiłby się też nigdy do takiego Abdela Kadera, jak uwielbiał przezywać uczniów wyznających islam, gdy był w towarzystwie starannie dobranych przyjaciół, czyli spotykanych na tarasach kafejek w Sables-d'Olonne nauczycieli z innych szkół.

Antoine Py nie miał przyjaciół w La Comelle; stanowisko zmuszało go do zachowywania dystansu wobec ludzi.

Gdy zrobił pierwszy odsiew, analizując sytuację zawodową rodziców i ich pochodzenie, wystarczały mu trzy dni na wybranie ofiary. Miał kilka stałych kryteriów: uczeń musiał wyglądać na kompletnego idiotę, nie od razu rozumieć, co się do niego mówi, mieć głupie spojrzenie, jakiś tik, pomieć koszulę, być trochę tłustym, zwłaszcza w talii, mieć brudne buty, niepewny krok. Jego uwagę zwracali również ci zbyt pewni siebie, którzy zachowywali się ostentacyjnie, drwiąco, tu uśmieszek, tam błysk w oku. Takim cwaniaczkom kochał zamykać pysk.

Szukał najmniej widocznej szpary i wślizgiwał się przez nią.

Zawsze uczył dziesięciolatków, czyli ostatnią klasę przed gimnazjum, które uważał za „śmietnik instytucji państwowego nauczania”. Wydawało mu się, że jest jubilerem, który szlifuje cenne diamenty, a one kończą potem w rynsztoku. „Strata czasu!”, mówił wieczorem żonie, siorbiąc zupę.

We wrześniu 1986 roku zarzucił sieci na Martina Delannoy, który powtarzał klasę. Chłopak miał dysleksję, chodził do logopedy. Py znajdował wyjątkową przyjemność nie w zmuszaniu go do czytania na głos przed całą klasą, nie. To byłoby zbyt proste, nie dość perwersyjne, a zwłaszcza zbyt ryzykowne; chodziło przecież o to, żeby nie wzbudzić niczych podejrzeń, przede wszystkim podejrzeń rodziców, ale nie tylko. Uczniowie przecież gadali, nad talerzem z kluskami opowiadali o wszystkim, co działo się w klasie. Py wołał całe ranki trzymać Martina przy tablicy, każąc rozwiązywać nierozwiązywalne zadania matematyczne.

Trudno mu było ukryć za fałszywym uśmiechem wyjątkową przyjemność, jakiej doznawał, widząc trzęsącego się ze strachu bladego ucznia, po którego czole spływały strużki potu. Ofiara

połykała łzy, ale mimo wszystko ciekły, aż na drewnianej podłodze pod nogami dzieciaka powstawała maleńka kałuża tej przezroczystej krwi, jakby uczeń starał się powstrzymać ból. Wreszcie tama puszcząca, policzki zalewały się łzami. A on, Py, łagodnym głosem mówił: „Wracaj na miejsce, chłopcze, zostaniesz na długiej przerwie, to ci wszystko wytłumaczę”.

Krzyczał rzadko, był fałszywie słodki, po czym, bez uprzedzenia, dlatego że ktoś rozmawiał podczas lekcji albo że poprzedniego wieczoru żona odwróciła się do niego plecami czy rano ktoś nie ustąpił mu miejsca, rzucał się na dziecko i podnosił je za kołnierz. Zły stopień, zbaczanie z tematu, szydercze śmieszki, gadanie, zagapienie się, ziewnięcie... – w takich wypadkach mury trzęsły się od jego głosu, który grzmiał aż po czubki wielkich kasztanowców rosnących na dziedzińcu szkolnym.

Nigdy żaden rodzic się nie poskarżył, bo też nigdy żaden uczeń nie podniósł swojej średniej tak jak podczas nauki w klasie pana Py’ego. Jego nazwisko wymawiano po cichu, z porozumiewawczymi uśmiechami i zadowoleniem szeptano: „On jest w klasie pana Py’ego”.

Pod koniec roku dostawał dużo prezentów i przyjmował je ze łzami w oczach, powtarzając w kółko jedno zdanie: „Proszę państwa, to nic takiego, przecież na tym polega moja praca”.

Zajęcia prowadził jasno i precyzyjnie. Mógł poświęcać godziny na wyjaśnianie jakiegoś szczegółu, dopóki największy bałwan go nie zrozumiał. Nawet jeśli powtarzał w kółko to samo. Nawet jeśli trzeba było przepisywać lekcję sto razy, aż raz na zawsze weszła do zakutego łba. Nawet jeśli dostawało się nieskończoną listę zadań domowych i musiało się spędzać nad nimi całe wieczory, całe niedziele.

Był wyjątkowo dobrym nauczycielem, dlatego mógł sobie pozwolić na kozła ofiarnego. Nawet dyrektor szkoły, pan Avril, biorąc pod uwagę doskonale rezultaty pana Py’ego, zamykał oczy na takie dziwactwo.

Rok szkolny 1986/1987 pan Py zaczął więc z nowym wybrańcem, Martinem Delannoy, co trwało aż do tego marcowego dnia, w którym tuż przed długą przerwą rozdano dzieciom grupowe zdjęcie klasowe.

Każde dziecko dostało kopertę z fotografią i jej ceną oraz z ceną indywidualnych zdjęć portretowych, w formie kalendarza, zakładkę do książek lub pocztówek z życzeniami.

Tamtego ranka Py zatrzymał na długiej przerwie Adriena Bobina i Martina Delannoy i kazał im dokończyć przepisywanie lekcji o uzgadnianiu liczby mnogiej. Sam udał się do pokoju nauczycielskiego na kawę. Wrócił do klasy koło jedenastej, kilka minut przed kolejną lekcją.

Cicho otworzył drzwi. Uwielbiał się skradać i straszyć uczniów. Patrzył na Martina Delannoy, który z nosem w zeszycie i głową pochyloną na bok przesuwiał językiem po wargach, przepisując zadanie. Py już otworzył usta, żeby powiedzieć Martinowi, że źle trzyma pióro, gdy jego uwagę zwrócił Adrien Bobin. Zawsze potargany drobny chłopak, który nigdy na nikogo nie donosił. Który uczciwie pracował. Rodzaj dzieciaka, jakiego na ogół nauczyciele zostawiają w spokoju. Ale tego dnia Adrien Bobin coś się guzdrał.

Py, gdy zawiesił na nim wzrok, poczuł nagle w piersi ukłucie lodowatego ostrza. Miał tak wytrenowany mózg, że wystarczyła jedna czwarta sekundy, żeby przeanalizował sytuację. Między uczniami przepływała milcząca wściekłość. Siedzących po przeciwnych stronach klasy Martina Delannoy i Adriena Bobina połączył jakby łuk elektryczny.

Adrien uniósł głowę i ujrzał ponure spojrzenie nauczyciela. Zza okularów Py'ego nadciągał huragan. Huragan groźny, śmiertelny. Z tych, co zabijają. Adrien zrozumiał to w sekundę. Opuścił oczy i wrócił do pracy, ale było już za późno.

5

6 grudnia 2017

Słyszę w oddali dzwony kościoła. Popołudniowe dzwony oznaczają czyjś pogrzeb. Z pewnością jakiejś starszej osoby; gdyby to był ktoś młody, wiedziałabym z racji pracy w gazecie i dyżuru. Zresztą tu są już sami starzy. Z dwóch szkół – Pasteura i Dantona – została tylko jedna, a i to nie wiadomo na jak długo. Kiedy fabryka traci robotników, tracimy też ich dzieci. Od dwudziestu lat było zbyt wiele zwolnień, zbyt dużo wczesnych emerytur. Fabryka Magellana, produkująca części zamienne do samochodów, zatrudniała w 1980 roku trzy tysiące pracowników, a w 2017 już tylko trzystu czterdziestu. Ostateczny cios nastąpił w 2003 roku, kiedy firma transportowa Damamme została sprzedana, a kilka lat później przeniesiona w inne miejsce.

Na moją lipę pada deszcz.

Poprawiam jakiś tekst, czekając na więcej wiadomości o samochodzie znalezionym w jeziorze. Przewieziono go do Autun. Policja nie pozwoliła mi podejść bliżej. Zrobiłam kilka zdjęć wraka wyciągniętego z wody. W dzisiejszej gazecie tej sprawie poświęcono krótką wzmiankę, ale gdyby we wraku odkryto ciało albo kilka ciał, wiadomość wypadłaby na pierwszej stronie. Mam wrażenie, że żandarmi są bardzo ostrożni w wypowiedziach. Podobno w aucie jest szkielet. Nie mogę przestać myśleć o Clotilde Marais.

Wcześniej układałam papiery i znalazłam jej zdjęcie z dawnych czasów. W marcu 1987 roku miała zaledwie jedenaście lat. Nie pamiętałam, że chodziła do mojej klasy. Byłam w szoku, gdy zobaczyłam to zdjęcie z dziecięcych lat. Przez długi czas jej fotografia

wisiała we wszystkich sklepach. Ale ponieważ jakiś świadek oficjalnie zeznał, że w dzień zniknięcia Clotilde widział ją na dworcu, wszyscy myśleli, że po prostu wyjechała bez słowa.

Na tym zdjęciu jest też stary Py w szarym fartuchu oraz stojąca razem Trójka „B”: Beaulieu, Beau, Bobin. Ja stoję w drugim rzędzie, czwarta z lewej, blada, przezroczysta, nieistniejąca.

W „roku Py’ego” Nina, Étienne i Adrien spotykali się przed szkołą Pasteura dziesięć minut przed dzwonkiem na lekcje. Nie mieli innych kolegów ani koleżanek. Przypominali tulące się do siebie szczeniaki z jednego miotu. Ale nie byli w ogóle podobni. Ani z wyglądu, ani z zachowania.

Jedenaście lat to wiek, kiedy większość dziewczynek trzyma z dziewczynkami, a większość chłopaków z chłopakami.

Nina często była zmęczona, bo późno chodziła spać. Podobno pomagała dziadkowi segregować pocztę na następny dzień według ulic i dzielnic. Tak w każdym razie mówiono. To nie była prawda – listy układano rano na poczcie. Pewnie rysowała do późna w nocy. Miała zawsze pobrudzone węglem palce. Szorowała je szczoteczką i mydłem, ale grafit zabarwiał paznokcie.

Bardzo mi się podobały cienie, które miała pod oczami. Zazdrościłam jej ich. Dzięki nim robiła wrażenie starszej. Wyglądała poważnie, jak dorosła. Gdybym mogła ukraść jej te stygmaty zmęczenia! Zresztą chciałam wówczas ukraść jej wszystko: mały nos, wygląd, sposób, w jaki nosiła głowę, uśmiech.

Nina jako dziecko była podobna do Audrey Hepburn. Później również. Ale na smutno. Choć Audrey też miała pewną melancholię w oczach. Z tym że u Niny to nie była kropla melancholii, ale raczej całe wiadro, wiadro smutku. Tak jakby wszystko już przeżyła, mimo że była dziewczynką. Nikt nie wiedział, kim był jej ojciec, ale podejrzewano, że pochodził z Afryki Północnej albo z Włoch, bo matka, z tego, co opowiadano, miała rude włosy i zielone oczy, a oczy Niny były tak czarne, że nie dostrzegało się źrenic.

Trójka „B” chodziła do szkoły pieszo. Chłopaki, Étienne i Adrien, używali deskorolki tylko wieczorami, w środowe popołudnia i podczas wakacji.

Nina z dziadkiem mieszkali na osiedlu robotniczym, w jednym z identycznych, przyklejonych do siebie domów z czerwonej cegły, stojących w rzędach wzdłuż dziesiątek takich samych ulic. Z tyłu każdego domu znajdował się ogródek warzywny, który żywił całą rodzinę, a gdy obrodziło, jeszcze i kilku sąsiadów.

Adrien z mamą, Joséphine, mieszkali w dwóch pokojach z kuchnią, na czwartym – ostatnim – piętrze budynku zbudowanego w latach sześćdziesiątych.

Étienne, jego rodzice i młodsza siostra, Louise, mieszkali w ładnej willi otoczonej stuletnimi drzewami. Najstarszy z rodzeństwa, Paul-Émile, wyjechał na studia do Dijon.

Ninę wychowywał stary człowiek.

Étienne był synem starego człowieka.

Adrien był synem nieobecnego ojca i matki hipiski, która sama sobie skręcała papierosy i słuchała *Say It Ain't So, Joe* Murraya Head, kiedy myła okna w jadalni.

Wszyscy mieszkali praktycznie w tej samej odległości od szkoły, około dwustu metrów.

I wszyscy troje pragnęli tego samego: uciec stąd, jak dorosną. Opuścić tę wiochę i zamieszkać w wielkim mieście pełnym czerwonych świateł, hałasu i szaleństwa, ruchomych schodów i kolorowych wystaw sklepowych. I świecących nawet w nocy neonów. Z tłumami ludzi na chodnikach, mnóstwem obcych – nieznanym, o których nie da się plotkować.

Cały wolny czas spędzali razem, razem też chodzili do stołówki. Śmiali się z tych samych rzeczy. Wziąć książkę telefoniczną, otworzyć na chybił trafił, wykręcić numer i wygadywać głupstwa zmienionym głosem. Oglądać *Magnum* i *Fame* przy zamkniętych drzwiach i okiennicach, zając cukierki. Grać w Masterminda i bitwę morską. Czytać razem komiksy *Przygody Tintina* albo *Księgę rzeczy dziwnych*, wylegując się na łóżku Niny. „Skończyłem!”, mówili chórem Adrien i Étienne, a wtedy Nina przewracała stronę.

Uwielbiali straszyć się wzajemnie, fantazjować, rzucać śmierzące bomby w alejkach supermarketu, nagrywać się godzinami na magnetofon, udawać prezenterów radiowych, odsłuchiwać nagrania

i zanosić się śmiechem. Kierował tym wszystkim Étienne, Nina była sercem operacji, a Adrien po prostu robił, co mu kazali.

Wszystkie te rytuały zależały od ataków astmy Niny. Cała trójka zależała od jej kapryśnych oskrzeli. Bywało, że mimo ventolinu ataki trwały ponad godzinę. Przy tych najostroższych Nina wołała zostawać sama ze swoim świszczącym oddechem. Wtedy Adrien i Étienne wracali do domów. Adrien, żeby czytać albo wspominać wspólne rozmowy. Étienne, żeby jeździć na deskorolce albo oglądać telewizję z Louise, młodszą siostrą.

Łączyła ich Nina. Bez niej się nie spotykali. Spędzali razem czas we trójkę albo wcale.

Chłopcy lubili ją, bo nigdy nikogo nie osądzała, podczas gdy w La Comelle wszyscy się wzajemnie obgadywali. Żyli plotkami, które przechodziły z pokolenia na pokolenie. Za Niną ciągnęła się reputacja matki – była „bękartem”, „zerem”. Adrien był tak nieśmiały, że nie interesował nikogo poza Niną, która uważała go za inteligentnego i tajemniczego. Matka Adriena, Joséphine Simoni, była świeżo zatrudnioną pracownicą miejskiego żłobka. Hipiska w długich spódnicach, które wycierały chodnik. Ojca nie było. Oboje, matkę i syna, zaliczano do grupy dzieci kwiatów. Co do Étienne’a, większość uczniów żywiła do niego pogardę jako do „dzianego”. W La Comelle ludzie się ze sobą nie mieszały. Serwetki do serwetek, ściereki do ścierek. Szanowano robotników, mniej majstrów. Synowie dyrektorów byli źle widziani, a życie na pewnym poziomie, bogactwo, zawsze budziło podejrzenia.

Trójka „B” chodziła razem do kina. Zajmowali miejsca w pierwszym rzędzie. Adrien nie siadał wtedy gdzieś z tyłu, jak w klasie, ale obok Niny. Ona w środku, Adrien po jej prawej, Étienne po lewej.

W dniu, gdy oglądali *Manon u źródeł*, Nina złapała każdego z nich za rękę w momencie, gdy Ugolin przyszywał sobie do skóry wstążkę Manon, i nie puszczała ich dłoni jeszcze długo po tym, jak się powiesił.

Ten film, *Manon u źródeł*, został na zawsze ulubionym filmem Adriena i Étienne’a, niezależnie od tego, co mówili. Gdy ich pytano o ulubiony film, odpowiadali: *Powrót Jedi*. Kłamali.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).